Nr. 16. We Lwowie dnia 16. Kwietnia 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Słowacki.

(Dokończenie)

W tym samym okresie „fantastycznie nastrojona“ lutnia jego uderzyła w ton, wywołujący rumieniec wstydu na twarzy ludzi, spokojnie dźwigających łańcuch niewoli. Rewolucyjny ten, pod względem poetyckim na najwyższe szczeble wspinający się manifest, wydobyty z piersi poety, którego losem było „na grobowcach siadać i szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych i senne królestwa posiadać, nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych, albo umarłych“,—rewolucyjny ten manifest podobny jest do szalonego wichru, niszczącego wszystko to, co jest zmurszałe i słabe. Poeta rzuca rękawicę narodowi swemu, że cierpliwie znosi kajdany, głosi, że Polska ma w sobie pierwiastki szlachetne, zdolne zamienić ją w „jeden wielki posąg, tak hartowny, że w gromach nie pęknie“, ale pierwiastki te przygłuszone są niewolą, „duszę anielską więzi rubaszny czerep“, duszę, „łudzoną błyskotkami“ i dzięki tym błyskotkom zamienioną w pokorną służebnicę ciemiężców. Nie dziw, że poemat, kończący się namiętnem wezwaniem: „Szczeknij z boleści i przeklinaj syna“ — znalazł obok namiętnych wielbicieli, zażartych także przeciwników. Dla jednych była to orgja szalonego gniewu człowieka, „miotającego się bez pamięci na wspólną matkę naszą, której syn winien ręce całować, choćby nawet grzeszną była“. Dla drugich, myślących zbyt po profesorsku, odznacza się utwór ten „brakiem prawdy w wyrażeniu, idei i uczuciu“. Dla innych znowu był „wypływem niepohamowanej pychy, którą poecie już przebaczono, ale która nie przestanie napełniać nas smutkiem“. Wreszcie głos ludzi, umiejących wnikać w tajniki duszy twórczej, orzekł — i słusznie — że „tak wspaniałej i głębokiej skargi na upadek ojczyzny nie pisał żaden z poetów naszych“.

Realniejsze, powiedziałbym, praktyczniejsze i dla mniej wytresowanych mózgów przystępniejsze kształty przybrał protest przeciwko spokojnej ofierze Anhellego w wspomnianym już wierszu do autora trzech psalmów, Zygmunta Krasińskiego. Utwór ten należy do gatunku poezji politycznej i przesiąknięty jest duchem rewolucyjnej demokracji.

Walczy tu poeta z zarzutami, czynionymi ludowi, proroctwa o buncie nazywa majaczeniem, w chorym mózgu karmazyna wywołanemi karmazynowemi firankami, i z tą samą prawie mocą słowa, co w grobie Agamemnona, aczkolwiek więcej retoryczną, niż poetyczną, wyznaje, iż „zawsze miał tę pokorę, że żadnego nie klął ruchu“, z tą samą potęgą wyrzuca Krasińskiemu, iż „naród hasła czeka, a krzyk pierwszy z ust człowieka był okropnym krzykiem strachu“.

Przemawiał tutaj nie melancholijny tułacz po stepach sybirskich, ale natura — powiedziałbym — maratowska, będąca ucieleśnieniem gromu przeciwko spokojnemu zginaniu karku pod jarzmo społecznej, czy politycznej niewoli. Huczał tutaj bojownik nowych form życia, w dzisiejszych, powszechnie panujących pojęciach prawie że demagog, dla którego szlachta „szkodliwą jest nawałą, formą przeznaczoną na zniszczenie“, na ustąpienie miejsca innym świeższym, zdrowszym czynnikom społecznym.

„Forma ta“ — mówi Słowacki — „kuta od lat tysiąca, gniecie dotychczas, aczkolwiek jest spróchniała“ i dla tego trzeba użyć gwałtu na nią. Ten gwałt w socjologji naszego poety zupełnie był uprawniony: według niego myśl boża schodzi nietylko z aniołami, „czasem Bóg ją we krwi rodzi, czasem zsyła przez mongoły“.

Protest ten, napisany w czasie, gdy Słowacki stał się zwolennikiem Towiańskiego i pogrążył się w mistycyzmie, mógłby na pierwszy

rzut oka wywołać zdziwienie, gdyby wyobrażenia w nim zawarte nie stały w rzeczy samej w bardzo bliskiem pokrewieństwie z jego historjozofją, tak, jak się ona ujawniła najwspanialej w Królu-Duchu.

Że tragiczne wypadki w r. 1846, straszna, obcą ręką wywołana rzeź galicyjska, wstrząsnęły poetą, jest to kwestją bardzo zrozumiałą i potworną byłby on miał duszę, gdyby tak nie było. Buntu chłopa tarnowskiego przeciw szlachcie nie mógł Słowacki uważać za naturalny opór przeciw teorji spokojnej ofiary, za opór, który stanowi też zasadniczą myśl *Lilli Wenedy*. Wyszedłszy z hipotezy o najeździe obcych plemion na spokojne szczepy tubylcze, przeciwstawił najezdźcemu Lechowi i jego ludom spokojny, dobry, łagodny naród Wenedów, ginący właśnie dla tego, że był spokojnym i łagodnym, że — analogicznie do rad, jakie w Anhellim daje wygnańcom ksiądz Bonifat, szedł na śmierć dobrowolnie, bez oporu, że stracił wiarę w swą przyszłość, że umie tylko śpiewać i marzyć, a nie umie walczyć, nie umie krwi przelewać.

Nie trzeba atoli sądzić, że Słowacki, skazując w „Lilli Wenedzie“ cały naród na wymarcie, dał nam — obok protestu przeciwko ofierze spokojnej — także pieśń rozpaczliwego zwątpienia w przyszłość. Jest w tem, skazanem na wymarcie plemieniu antyteza Lilli Wenedy, płomienna, do strasznej burzy podobna Róża Weneda, która, zamiast spokojnej lutni, dzierży krwawą pochodnię — pochodnię siły, hartu i nieugiętej dumy. „Kto, konając, uwierzy we mnie — mówi ta wróżka tytaniczna — tego ja zemszczę lepiej od ognia i wojny, lepiej, niżeli stotysięcy wroga, lepiej od Boga!“

„Lilla Weneda“ jest ogniwem łańcucha dramatów legendowych, śród których najpierwsze miejsce zajmuje „Balladyna“ poemat, skrzący się wszystkimi ogniami najfantastyczniejszych, najcudowniejszych feeryj Szekspirowskich, a obok tego posiadający w sobie najwięcej może tragizmu. Utwór to, jeżeli weźmiemy jego stronę psychologiczną, zupełnie nowoczesny — możnaby powiedzieć, że jest to zaprzeczenie wolnej woli, jako czynnika decydującego w życiu ludzkiem; logika psychiki jest tu prawie zupełnie wykluczoną. Na jej miejscu stają tajemnicze, nieznane człowiekowi, od jego woli, od jego rozumu niezależne potęgi, miotające tą wolą i tym rozumem jak liściem, który wicher oderwał od drzewa nadbrzeżnego i unosi go na spienione fale rzeki ogromnej. „Ludzie — powiada Małecki — rachują tutaj i działają, pajęcze zaś ich planów sieci wiatr co chwila wikła i rwie przypadek; gdy raz się potknęli, coraz dalej w otchłań bezdenną popycha ich logika wypadków, fatalne własnych czynów złych następstwa; dodajmy jeszcze demonizm, a niekiedy udział w sprawie dziejowej palca bożego — a otrzymamy sumę krzyżujących się czynników, których wzajemne oddziaływanie wywiązuje się w sposób niespodziewany i przechodzący granice pojęcia ludzkiego“.

Palec boży w kształcie pioruna, zabijającego Balladynę, jest kawałkiem tej czerwonej nici mistycyzmu, przewijającej się we wszystkich dojrzałych utworach Słowackiego — mistycyzmu, który popchnął Słowackiego do zajęcia się hiszpańskim poetą Calderonem — mistycyzmu, który widzimy w „Śnie Srebrnym Salomei“, a który najpotężniej ujawnił się w historjozofji Króla-Ducha. Utwór to pełen wybranych piękności poetycznych, jakkolwiek moralność jego sprzeciwia się teorjom o prowadzeniu ludzkości do szczęścia za pomocą środków łagodnych, sprawiedliwych. Kult bohaterskiej jednostki dochodzi tutaj do gloryfikacji tyraństwa — nadczłowiek Zarathustry poznałby się tutaj w niejednym szczególe. Salwuje atoli Słowackiego fakt, zaznaczany w poemacie tym niejednokrotnie bardzo dobitnie, że uwielbienie dla bohaterów, dla ludzi wielkich i ich okrucieństw, uwarunkowane jest zawsze celem bardzo podniosłym: nie uwielbia ich Słowacki dla nich samych, ale dla tego, że oni zbawią ludzkość i Polskę — choćby nawet uciekali się do środków barbarzyńskich, gwałtownych, do wyrzynania, jak Popiel z Króla-Ducha, choćby najbliższych.

Wyobraźnia Słowackiego, niezmiernie bogata, błyskotliwa, ale i głęboka, umiejąca odtwarzać i rzeczy realne — jak to widzimy np. w potężnym „Ojcu Zadżumionych“ — była mimo ogromnej swej siły nie zawsze samodzielną, choć być nią nie potrzebowała. Poeta brał zwykle pomysły już gotowe, ale obrabiał je na swój sposób, dla tego też bynajmniej do talentów naśladowczych w ścisłem tego słowa znaczeniu zaliczyć go nie można, boć i Szekspir czerpał całą garścią z tematów już gotowych, ale również w opracowaniu nadawał im piętno własnej wyobraźni, własnego ducha.

Fantastyczność, bujność natury Słowackiego, natury, która obok Grabca i Goplany stworzyła czarujące „Smutno mi Boże“, a która tak kapryśnemi płynie falami w Beniowskim, ta fantastyczność nie przeszkadzała mu, zwłaszcza pod koniec życia — zajmować się sprawami realnemi, jak np. myślą o wyswobodzeniu ludu polskiego z pod jarzma pańszczyźnianego, nie przeszkadzała w prześlicznym testamencie wołać do żywych, aby przed narodem nieśli oświaty kaganiec.

Człowiek, który czując się bliskim skonu, z serdecznem powiedział uczuciem: „żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami, nikt mi, kto szlachetny, nie był obojętny“, człowiek ten zasługuje na to, abyśmy równo serdecznem uczuciem otaczali jego pamięć.

Syn cierpiącego i walczącego narodu, śpiewający, że „dla ojczyzny sterał swoje młode lata, a póki okręt walczył, siedział na maszcie,

a gdy tonął, za okrętem poszedł pod wodę", zasługuje na to, aby ojczyzna była mu wdzięczną.

Nauczyciel i piewca, który Jezajaszowym wołał głosem: „Niech żywi nie tracą nadziei, a gdy trzeba, niech na śmierć idą po koleji, jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec", zasługuje na to, aby ci żywi go słuchali.

Jan Kasprowicz.

12)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Na tle zarysu, skreślonego powyżej, rozpatrzmy teraz koleje, przez które przechodził Wroński, pędząc żywot przeważnie na Syberji.

Chwile zajęć szkolnych młodzieży w Warszawie przerwane zostały raptownie wypadkami politycznej natury. W demonstracjach brał Wroński udział czynny wespół ze swymi kolegami, aż do czasu gdy wybuchło powstanie i młodzież zaczęła tłumnie opuszczać stolicę, spiesząc po większej części do obozów, [illegible]nujących się w różnych okolicach kraju. Wroński chciał dzielić losy swoich przyjaciół, ale ci odradzali mu tego stanowczo, bacząc na krótkość wzroku i słabość jego organizmu. Zrazu usłuchał rady kolegów, lecz po pewnym czasie nie mógł, jak powiadał, wytrzymać dłużej w mieście i pomimo całego uroku, jaki miała dla niego Warszawa opuścił ją, pojechał w Lubelskie i tam zaciągnął się do oddziału powstańczego, do piechoty narodowej. Przekonawszy się jednak wprędce, że z oddalenia takiego, w jakiem potykała się zwykle ruchawka nasza z wojskiem regularnem najazdu nieprzyjacielskiego, nie zdoła nigdy widzieć celu swoich wystrzałów, postanowił przejść do kawalerji. Wyekwipował się kosztem własnym, wybrał i kupił klacz bojową „ognistą, inteligentną i niezmiernie odważną", odbył ćwiczenia kawaleryjskie pod kierownictwem instruktora wojskowego i przeszedł na linję bojową. O jego pierwszej, a zarazem i ostatniej szarży na kozaków opowiadał nam kolega Wrońskiego, który razem z nim służył w oddziale, obok tego sam Wroński potwierdził prawdę słów kolegi, a nadto opisał ze szczerością sobie właściwą, wszystkie szczegóły, oraz wrażenia, jakie odebrał, i uczucia, jakie nim miotały w dniu tym, tak pamiętnym dla niego. Opowiadanie, o którem mowa, streszczam w niewielu wyrazach następujących.

Odebrano rozkaz, ażeby kawalerzyści danego odziału, w którym służył Wroński, gotowi byli w dniu naznaczonym do ataku na sotnię kozaków, konwojujących partję powstańców rekonwalescentów, wziętych rannymi do niewoli w trakcie rozmaitych utarczek uprzednich. W dzień naznaczony przybył oddział kawalerji na miejsce wskazane i w milczeniu głębokiem zajął stanowisko. Wroński wytężył wzrok ku drodze, po której mieli nadciągać kozacy i zdawało mu się ciągle, że widzi ich przed sobą. Stan podniecenia wywoływał w nim zawsze halucynację wzroku, a w dniu tym, podniecenie dochodziło do swego zenitu: „szumiało mu w uszach, ćmiło mu się w oczach", jak powiadał. Gdy usłyszano nareszcie turkot wozów, tętęt koni, głosy ludzkie, „serce w piersi jak młotem bić zaczęło Wrońskiemu, oddychać nie mógł". Aż tu nagle rozległ się głos dowódcy „Naprzód" „marsz".

Na tę komendę Wroński wydobył pałasz, wzniósł go do góry, spiął ostrogami rumaka i z krzykiem gwałtownym, wołając: „a pójdziesz a pójdziesz, za Don, za Ural!", rzucił się na wroga. Klacz ognista zerwała się do biegu, „jak strzała spuszczona z cięciwy", pobudzana ostrogą, krzykiem jeźdca, wystrzałami nieprzyjaciela mknęła przed siebie, „sadząc przez rowy i zawały, gdyby sarna syberyjska". Wrońskiemu zdawało się wciąż, że widzi przed sobą tłum pierzchających kozaków. starał się choć jednego z nich dognać, lecz wszelkie wysiłki były bezskuteczne. Złudzenia rozwiewały się niedoścignione, ażeby znowu w innem miejscu wystąpić w formie obrazu fantastycznego pierzchających kozaków. Taka pogoń trwałaby do nieskończoności, gdyby klacz nie zwolniła biegu, a jeździec nie oprzytomniał nareszcie: znalazł się on wśród pól nieznanych, nie umiał sobie na razie zdać sprawy z tego, co się stało i gdzie się znajdował. Zaledwie w kilka dni po ataku potrafił, przy pomocy najętego przewodnika, wrócić do „swoich" i tam oświadczył otwarcie, że służbie w kawalerji podołać nie zdoła, bo podniecenie bojowe wywołuje w nim halucynacje wzroku, których pokonać nie jest w mocy. Tego rodzaju ekstazę bojową uplastycznił mistrz Matejko w swoim obrazie „Bitwa pod Grunwaldem". Wroński odczuł myśl artysty i pojmował dobrze stan duszy Witolda, pędzącego przed siebie bez pamięci, bo go sam na sobie doświadczył. To też gdy jeden ze znajomych

mu malarzy zrobił w jego obecności zarzut kompozycji, twierdząc, że Witold na obrazie jest nienaturalny, oburzył się Wroński gwałtownie utrzymując, że jest najnaturalniej w świecie oddany, jest on bowiem przejęty uczuciem „tej nieskończonej radości“, która owłada wodzem po szczęśliwem zwycięstwie, „a czyż radość taka nie jest w stanie doprowadzić do chwilowego obłędu, albo przynajmniej do utraty równowagi umysłowej“. „Czyż byś ty“, mówił Wroński do przyjaciela malarza, „nie puścił z rąk cugli i nie straciłbyś przytomności z nadmiaru szczęścia, gdyby ci przyszło obwieścić przed światem i narodem, że wróg nasz już nigdy nie wróci do kraju“. „Co do mnie“, dodał, „to czuję, że mógłbym zwarjować, a nawet padłbym może martwy, wołając: „zwyciężyliśmy!“

Po rozwadze nad wypadkami zaszłymi, musiał Wroński, aczkolwiek ze smutkiem głębokim, złożyć rynsztunek wojenny. Oddał klacz ulubioną na własność oddziałowi, w którym pełnił służbę kawaleryjską i zapisał się „do kurjerów wojskowych“. Woził odtąd depesze, rozkazy, biuletyny, co trwało przez parę miesięcy. Złowiony nareszcie z depeszami, których zniszczyć nie mógł, „bo zaszyte były w kapeluszu“ — zesłany został do kopalń syberyjskich.

O więzieniu i indagacjach nie lubił wspominać Wroński, na pytania, dotyczące tych chwil bolesnych, odpowiadał lakonicznie: „nikogo nie wydałem, nie mam nikogo na sumieniu“.

Drogę do Tobolska odbył Wroński pospiesznie, będąc ekspedjowany pocztą z żandarmami. Przywilej taki był rezerwowany prawie wyłączyie dla sądzonych w obrębie „Królestwa Polskiego“ (Carstwa polskaho). Sądzeni w innych dzielnicach, odbywali drogę do Tobolska pieszo. Z tego ostatniego miasta odsyłano znowu przez czas pewien tych, którzy mieli własne fundusze na opłacenie żandarmów i koni, również pocztą na miejsce wyznaczone przez władze; do tej kategorji należał i Wroński, który „kapitały“ swoje ostatnie poświęcił na drogę i w ten sposób, pod skrzydłem opiekuńczem żandarmów, dostał się do zakładu karnego w kraju Zabajkalskim, do „hut piotrowskich“ („żelezno-pławitielnyj Piotrowskij zawod“). Miejsce to jest sławne w kronikach syberyjskich, bo tam byli więzieni ostatni z pokolenia szlachetnych Rosjan, przyjaciół Polaków i osobistych przyjaciół Adama Mickiewicza. Znani byli oni na Syberji pod nazwą „Diekabrystów“. W Piotrowsku zbudowano kazamaty, przeznaczone specjalnie dla tych więźniów stanu, według planu, przysłanego umyślnie z Petersburga i aprobowanego przez samego cesarza Mikołaja I. Podanie głosi, że rozmieszczenie skazanych po celach więziennych, również wyznaczenie miejsca, gdzie stać powinna straż wewnątrz i na zewnątrz gmachu, były najmiłościwiej obmyślane i dysponowane przez samego cesarza. W terminach stale określonych, przesyłano przez specjalnych kurjerów raporty szczegółowe do Petersburga o wszystkiem, co się dotyczyło więźniów, których się bano nawet wtedy, gdy zakuci w kajdany, strzeżeni pod okiem wypróbowanych dozorców, odosobnieni najszczelniej od świata całego, marli powoli wśród mąk moralnych, najcięższych, bo mających swe źródło w bezczynności zabójczej więzienia celkowego.

8)

Z wycieczki do Słowacji.

(Ciąg dalszy).

Bądź co bądź czardasz, zwłaszcza jego wstęp długi, zmienny w tonacji i ponury w nastroju, rozdraźnia. Na szczęście cygani, po tym wstępie, a bez skocznej części czardasza, przeszli odrazu do pieśni i tańców słowackich. Mają one ten sam charakter, co czeskie, a więc wesoły, pogodny, często naiwny, choć nie brak i tęsknych, rzewnych, smutnych, jak polskie. Przeważa w nich tonacja majorowa; zdarzają się jednak i minorowe i te są najbardziej do polskich podobne, zarówno z powodu alteracji, jak i pochodu rytmicznego, zatrzymywanego niespodzianie na pewnych nutach.

Sztuka p. Urbanka, jakkolwiek nieco melodramatyczna w założeniu i dość pierwotna w budowie, wywarła duże wrażenie swojskością obrazów, płynnością djalogów i dobrą charakterystyką obyczajów ludu. Największem powodzeniem cieszyły się pieśni, zręcznie wplecione do sztuki i słowa, potrącające o ideje znaczenia ogólniejszego. *Sprawiedliwość* to ideał słowaka! Nic dziwnego zatem, iż publiczność każde odezwanie się o niej przyjmowała burzą oklasków.

Wykonanie było zdumiewająco poprawne. Chwilami nie chciało się wierzyć, iż to amatorzy występują na scenie. Nie mówiąc już o tem, iż wszyscy umieli wybornie role na pamięć, zaznaczyć należy, iż niektórzy doskonale grali. Postaciom żeńskim nie zbywało ani na charakterze, ani na subtelnościach wyrazu. Zwłaszcza

pani Starkowa,w roli Hanny z pod Haja (Strzygi), świetnie utrzymywała charakter staruszki pozornie złośliwej, a jednak w gruncie niezmiernie dobrej.

Zarówno jej ruchy, jak i barwa głosu, znakomicie były dostrojone do charakteru postaci.

Najbardziej jednak zadziwiającą stroną tego przedstawienia amatorskiego było to, iż nie miało ono zgoła cech zabawki towarzyskiej. Wszyscy grali dla sztuki, dla idei, nie zaś dla siebie, dla flirtu, przeniesionego, jak u nas, z salonu na scenę teatru amatorskiego. Czuć, że to społeczeństwo zdrowe, które żyje czynem, nie zaś porywami chorobliwemi przedrażnionych nerwów.

Po przedstawieniu odbyła się zabawa wspólna: połowa prawie publiczności, a więc jakieś pięćset osób pozostało w sali i w dwóch pokojach kasyna.

Nie! Na podobną szykanę nie zdobyłby się żaden indo-giermanin. Chcecie się bawić? — powiada madziar.—Dobrze, ale naczczo i nasucho!

Nie mogąc zrozumieć na razie, co to wszystko, ten nieład, ta opieszałość usługi, ten brak jadła i picia ma znaczyć, postanowiliśmy spożyć wieczerzę w hotelu i następnie dopiero przyjść na raut. Pomysł był dobry, ale wykonanie nie od nas zależało. Restaurator zamknął kuchnię i spiżarnię na klucz i jako prawy słowak poszedł sam na ucztę duchową do „Domu narodniego“.

— Obudź panią i poproś o jakąkolwiek przekąskę— powiadamy służącemu, który został się sam na straży lokalu i piwa.

— Cóż to panowie myślą, że nasza pani w takie święto leżałaby w łóżku?

Jak nie pyszni wróciliśmy do „Domu narodowego“ i podaliśmy się w potuł. Jakiś mały chłopczyna zaprowadził nas do kuchni. Tam kucharz, starzec, powłóczący za sobą z trudem nogami, pokazał nam dwa kotły. Zajrzeliśmy w obydwa. Na dnie pierwszego podskakiwały jakieś gnaty, taniec szkieletów w sosie z papryką; w drugiem skwarczała papka z ryżu: podobno drób w potrawce. Zdecydowaliśmy się na drugie, byle cokolwiek położyć na zębie, i samiśmy zanieśli jedzenie do kawiarni. Sala była pełna żydów i madziaronów, grających hałaśliwie w karty. Wejście nasze przyjęto śmiechem szyderczym. Lecz głód nie zna granic konwenansu i miłości własnej: wzięliśmy się w milczeniu do jedzenia, a właściwie do odskrobywania skóry z podróbek. Ryż jakimś tłuszczem palił w gardle: niepodobna było przełknąć.

— Dawajcie piwa!

— Nie wolno trzymać piwa - odpowiada gospodarz.

— Dawajcie wina!

— Nie wolno trzymać wina.

— Ależ tam ludzie piją piwo i wino!

— Tam piją za darmo.

— To przynieście nam za darmo.

— A mają panowie kartki?

— Nie. Bo co?

— Trzeba mieć kartkę, że się jest członkiem kasyna.

Na szczęście, jakiś młody człowiek, widząc naszą rozpacz, wziął kapelusz na głowę, wyszedł na ulicę i po chwili przyniósł pięć kufli piwa. Naprzód wyraziliśmy mu swoją wdzięczność, a następnie chcieliśmy się uiścić z długu.

— Nie mogę przyjąć — odpowiedział stanowczo.

— Czemu?

— W „domu narodnim“ nie wolno sprzedawać trunków: można tylko przynieść sobie z innej „korcmy“. Ja sobie przyniosłem, a że sam wypić nie mogę, więc panom odstępuję.

— Dobrze; ale jakże my się panu odwdzięczymy.

— Odwiedzinami jutro u mnie za miastem: szynkuję piwem śto-marcińskiem w ogródku przy browarze.

— Nie kłopoczcie się panowie taką drobnostką. To rzecz zwyczajna u nas — zawołał z humorem p. Swiatozor Hurban, który, zaniepokojony naszą nieobecnością, szukał nas po wszystkich kątach i nareszcie znalazł.

— Jakiż jest cel tej szykany?

— Bardzo prosty. Nietylko żyd, ale słowak dobrze by nam zapłacił za prawo trzymania kawiarni wraz z restauracją w naszym lokalu, gdyby pozwolono mu sprzedawać trunki. Że jednak wyszynk piwa czy wina podniósłby równocześnie dochód „Domu“, więc dzierżawca kawiarni konsensu otrzymać nie może.

Kiedyśmy zjawili się na sali, *Volna beseda* miała się już ku końcowi. Przy stołach siedzieli sami tylko mężczyźni, starzy i młodzi, zawodowcy i studenci, księża katoliccy i protestanccy. Poznaliśmy się z księżmi. Włosy na głowie stają, kiedy się słucha opowiadań z dziejów parafji.

— Możecie w swoich pismach wymieniać nasze nazwiska, ponieważ nam już nic gorszego stać się nie może! Z Wacowem się znamy, a z probostw, dekanatów, biskupstw oddawnaśmy zrezygnowali. Wszyscy, jak nas tu widzicie, jesteśmy raz na zawsze pogrzebani — mówił ks. Hlinka, postać z bronzu, drgająca życiem i jakąś nerwową zaciętością temperamentu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

A. Sygietyński

SPŁATA

PRZEZ

PAWŁA BOURGET'A.

Przekład Eugenji Żmijewskiej.

Dla tych, którzy będą kreślili historję ducha we Francji w wieku XIX, najtrudniejszym do scharakteryzowania będzie okres, w którym żyło pierwsze pokolenie po wojnie 1870 r.

Nigdy, zaiste, wpływy tak sprzeczne nie oddziaływały jednocześnie na kierunek umysłów.

Młodzi ludzie, wkraczający w życie w owej dobie, w pokoleniu poprzedniem znajdowali poglądy filozoficzne, wyrobione za czasów drugiego Cesarstwa.

Taine i Renan byli dwoma najnakomitszymi przedstawicielami tych doktryn. Nie tu miejsce je roztrząsać, dość przypomnieć, że podstawą ich była wiara bezwzględna w naukę i wiedzę i że dogmat przyczynowości nawskróś ją przesiąkał, objawiając się w formułkach brutalnie dobitnych u jednego, u drugiego zaś z tych pisarzów w subtelniejszej powłoce.

Świadomie czy też bezwiednie, obaj ci mistrze głosili zasadę przypadkowości.

Historyk „Literatury angielskiej" uczył nas zapatrywać się na wszelką cywilizację, jako na wytwór rasy, środowiska i danej chwili, wówczas, gdy autor „Żywota Jezusa" przedstawił nam, że nad ewolucją myśli religijnej górowały zawsze prawa przyrodzone, tak stałe i niezmienne, jak te, które rządzą rozwojem gatunków zwierzęcych i roślinnych.

Takie hypotezy mogą w umysłach ludzi dojrzałych pogodzić się ze skrupułami moralności i energją czynu; lecz dla młodzieży były one źródłem negacji i pesymizmu, a to właśnie w chwili, gdy klęski wojny i Komuny godziły tak boleśnie w naszą ojczyznę i wskazywały konieczność obowiązku społecznego, potrzebę działań pożytecznych.

Zachodziła zbyt rażąca antyteza pomiędzy teorjami, wyznawanemi przez naszych wielbionych mistrzów, a poczuciem konieczności czynu, którem nieszczęścia kraju nas przejmowały.

Wszak nawet jeden z tych dwu wielkich pisarzy odczuwał sam tę antytezę.

Gdyby Taine nie lękał się obezwładniającego wpływu swoich dzieł, to nie byłby się poświęcił olbrzymim pracom nad historją współczesną.

To jego ostatnie dzieło winno być politycznym brewiarzem każdego Francuza — patrjoty! Kosztowało go ono lat dwadzieścia pracy mozolnej; na tych kartach usiłował pogodzić wiarę z nauką, moralność obywatelską z psychologją, rzucił most pomiędzy rusztowaniami własnej filozofii a potrzebami narodu.

Zadanie takie było zbyt trudnem dla nas, dwudziestoletnich młodzieńców. Z jednej strony widzieliśmy Francję, dotkniętą boleśnie, czuliśmy, że na nas ciąży odpowiedzialność za jej upadek lub przyszłe podźwignięcie się z niego. Pod wrażeniem tej ojczystej potrzeby chcieliśmy działać, pracować dla dobra ojczyzny.

Z drugiej zaś strony, doktryna rozpaczy, przesiąkła nihilistycznym determinizmem, zniechęcała nas do wszelkiej działalności.

Pomiędzy naszym rozumem a sercem panował rozdźwięk. Cała praca naszych lat młodzieńczych polegała na tłumieniu i godzeniu tych sprzeczności, które do dziś dnia dają się nam uczuwać, choć życie nagięło nas do swojej nieubłaganej dyscypliny, choć dziś takie antytezy uważamy za naturalny wynik warunków, w których rozwija się dusza współczesna.

Dziwna to była młodzież! Największą jej rozkoszą były rozprawy nad poglądami abstrakcyjnemi!

Zamierzając opowiedzieć jeden epizod z moich lat młodocianych, uważałem za konieczne położyć nacisk na umysłowo-moralną rozterkę, w której wzrastaliśmy wszyscy.

Dramat rodzinny, który wam opowiem, sam przez się byłby zwykłym wypadkiem, mniej może banalnym od innych, lecz bohater, a zarazem i ofiara dramatu, posiadał w wysokim stopniu cechę wspólną naszego pokolenia: lubował się w zasnuwaniu kanwy codziennego życia problematami myślowemi, więc ten wypadek przejął go poczuciem odpowiedzialności prawdziwie tragicznej.

Ocenił-li on trzeźwo daną sytuację? Nadał-li faktom smutnym znaczenie zbyt doniosłe? Powodował-li się zbytniemi skrupułami przy rozstrzyganiu tego zadania? Niech sam czytelnik osądzi. Co do mnie na osobę i postąpienie mojego przyjaciela zapatrywałem się kolejno z dwu punktów widzenia.

W epoce, w której się to zdarzyło, uważałem za pewnik niezbity, że wola jednostki nie istnieje w naturze, nie wierzyłem w ową tajemniczą logikę przeznaczenia, którą chrześcijanie nazywają Opatrznością, a pozytywiści określają formułą: sprawiedliwości nieuniknionej.

Mój przyjaciel upatrywał w tej tragedji objawienie siły mściwej, godzącej przestępcę

w nieprzewidzianych skutkach jego winy. Ja w tej tragedji widziałem poprostu igraszkę losu.

Dziś doświadcenie wykazało mi głęboką prawdę słów, wypowiedzianych przez Napoleona na wyspie św. Heleny! „Za wszystko się płaci“. W dalszem swojem życiu widziałem nieraz, jak kara ściga i dosięga winę: przekonałem się, że traf bywa często nieprzewidzianą formą odpokutowania.

Dziś gotów jestem uwierzyć wraz z Eugeniuszem Corbières — tak się nazywał mój przyjaciel i kolega — że ów dramat, był istotnie jedną ze spłat, w które wierzył Napoleon.

Była to spłata cicha, skromna. Zdarzają się inne, rozgłośne; lecz kto wie, czy sprawiedliwość, rządząca ludzkiemi sprawami, nie objawia się potężniej jeszcze w takich wyrokach, nieznanych ogółowi, w takich karach cichych.

Wspomniałem już, że Corbières był moim kolegą. Poznaliśmy się w liceum Louis le Grand. Obaj chodziliśmy na wykłady jednych profesorów, pisaliśmy te same wypracowania łacińskie, przez lat kilka nie zamieniwszy ze sobą innych słów, jak tylko: „Dzień dobry!“ i „Do widzenia!“

Jak to się często zdarza wśród kolegów, zbliżyliśmy się nawzajem dopiero po wyjściu ze szkoły, gdyśmy obaj kroczyli odmiennemi zupełnie drogami.

Lecz obaj do prac wręcz odmiennych nawet przystępowaliśmy z jednaką chęcią pogodzenia umysłowego determinizmu z działalnością obywatelską.

Odnowienie, a właściwie początek naszego koleżeństwa nastąpił na wiosnę r. 1873, dzięki zupełnie przypadkowemu spotkaniu. Pamiętam wszystkie jego szczegóły dokładnie. Wychodziłem właśnie z kawiarni przy rogu ulicy Vaugirard naprzeciwko ogrodu Luksemburskiego i Odeonu. Gromadziło się tam szczupłe kółko młodych pisarzy, którzy mienili się pretensjonalnie „żywotnymi“. Zdawało mi się, że zaznaczam swą działalność literacką, marnując kilka godzin dziennie w bardzo uduchowionem, ale mocno paradoksalnem towarzystwie tych miłych kolegów, chociaż rozmowy z nimi nie zadawalały moich głębszych potrzeb duchowych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

15)

Bunt Napierskiego.

Poemat dramatyczny.

Akt III.

OSOBY:

Napierski	Krzyś Gąsienica, grajek.
Łętowski	Mojsze
Radocki	Goniec
Czepiec	Hanusia
Zdanowski	Salka Nieznana
Jarocki, pułkownik dragonów biskupich	Górale.

Dziedziniec w otoczonym murami zamku czorsztyńskim. Mrok przed wschodem słońca. Później wschód słońca.

Warty. — Na przodzie sceny ludzie z oddziału Czepca.

3-ci góral.

Czuwamy tutaj całą noc — w dziedzińcu,
jak podwórzowe pieski na łańcuchu.

1-szy góral.

Byłoby lepiej hańże — tam! przy watrze
nad Czarnym Stawem, lub pod Wołoszynem,
gdzie na upłazy wychodzą koziczki...
Pukałoby się...

5-ty góral.

Haj! pukałoby się!
Lecz mi się widzi, że i dziś ustrzelim
kilku capików.

3-ci góral.

Skóry z nich nie zedrzem:
puste kieszenie pachołków biskupich —
nie warto do nich kłaść zbójnickiej ręki.

1-szy góral.

Haj! prawdę mówią! Gdyby nie ten klecha
i ten pan hetman i ten pan marszałek,
co nas ściągnęli tu, niewiedzieć, po co,
to dzisiaj, wiecie, człek by se pohulał
może w Kieżmarku abo i w Orawie...
i z czerwieńcami wrócił do frajerki.

2-gi góral.

Ładnie szanujesz tę swoją frajerkę.

(Do górali.)

Dzisiaj z północka, wiecie, ten nasz Bartek
do czeladnicy się zakradł — do dziewek...

Jedna z nich nawet ponoć szynkowała
samemu panu Napierskiemu...

4-ty góral.

Anoć
zaszczyt nie mały...

3-ci góral.

Jak dla kogo...

1-szy góral.

Prawda!
Tylko nie strzępcie na mnie swych języków...
Kuną nie jestem, żebym się gdzie skradał...

4-ty góral.

Ej! powiadali, żeś się do żydówki
mocno zabierał...

3-ci góral

Fe!

1-szy góral.

I czego spluwasz?
Mięso jest mięsem... Człek przebierający
odchodzi głodny...

5-ty góral.

Hahahahaha!

4-ty góral.

Ale z tej rady na inną... Bratowie,
hę? macie wódkę?

1-szy góral.

Dzbanek tak-ci suchy
niby to zmarłe jezioro w Piarżystej.

4-ty góral.

A niema żyda?

1-szy góral.

Poszedł spać.

3-ci góral.

O rety!
A toć go zbudzić, niech nam poszynkuje!
(Do jednego z górali.)
Chybaj-że, Józek, po Mośka
(Jeden z górali odchodzi. Do siedzącego opodal Krzysia Gąsienicy.)
Hej! Krzysiu!
Dobądź gęśliczek, zagraj nam pod nogę!
Człowiek skostnieje, kiej się nie pokręci,..
Hej! zbójnickiego!..

Krzyś.

Ba, kiej ma być cisza —
Tak powiedzieli panowie starszyzna.

3-ci góral.

Jaka starszyzna i jacy panowie?
Sołtys Łętowski, co w serdaku chodzi,
jak my tu wszyscy, w domu owies sieje
i już za stary, coby szedł na wirchy.,.
A ten Radocki? Dzieci w szkole tłucze,
tak mu się zdaje, że i tutaj może
głowę podnosić wyżej nas, honornych,
którym się kłania Podhale i cała,
wiedzą, liptowska dolina i Spiskie.

6-ty góral.

E! gwarzcie sobie! Ja wam to ugwarzę,
jako szanować trzeba siwe włosy
na skroniach człeka, co był najmocniejszy
pośród junaków i dziś jeszcze myśli,
aby nas wszystkich już na wieki wieków
od tych hajduczych uwolnić pościgów
i od orawskich i kubińskich sędziów,
od ciemnych lochów wiśnickich i — wiecie —
od tych szubienic, co są w Nowym Targu
albo w Krakowie...

5-ty góral.

Haj! haj! dobrze radzą!

3-ci góral.

Jako tam dobrze? Mówią: będzie spokój
na całym świecie, będzie miłowanie,
wszyscy się złotem po równi podzielą...
Nie! być nie może, aby Jędrek Kulik,
mój wróg największy, dostał tyle dutków,
co ja, mój bracie, albo ty...

1-szy góral.

A wiecie,
ta ich spokojność?! Na co zbójnikowi
tej spokojności?... Ja kiej se na hali
siedział przy owcach, tak nijakim światem
wytrzymać, mówię, nie mogłem. Od ciszy
smreków i turni cno mi się robiło.
Zawszeć bywało lepiej u Luptaków,
kiej krew się lała i kiej od ich jęków,
stały się szumy, jakby wiater halny
wziął się za bary z powichrem... Hej! Krzysiu,
dobądź gęśliczek!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Jan Kasprowicz.

Z pism i książek.

„Free Russia“ (Wolna Rosja, organ Towarzystwa przyjaciół wolności w Rosji). Kwietniowy zeszyt tego miesięcznika, wychodzącego w Londynie jest prawie w całości poświęcony sprawom finlandzkiem t. j. oburzającemu gwałtowi dokonanemu przez rząd rosyjski na zaprzysiężonej przez każdego wstępującego na tron konstytucji finlandzkiej. „Wolna Rosja“ umieszcza cały szereg głosów o tej kwestji finlandzkiej, zestawiających bardzo słusznie najświeższy ukaz cara z jego deklamacjami na temat sprawiedliwości, rozbrojenia i wiecznego pokoju. Zajmuje się też gorliwie redakcja „Wolnej Rosji“ sprawą głodu w Rosji, zbierając składki na ofiary głodu.

Drukarnia K. Wiesnera, we Lwowie Lindego 8.